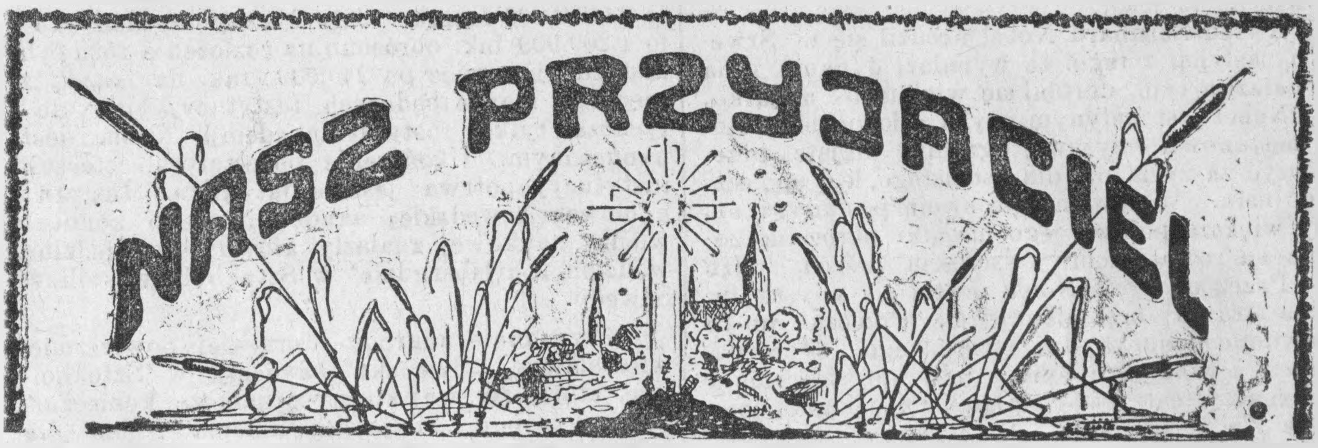


Dodatek do „Drwęcy“.

Nr. 10. | Nowemiasto, sobota 7 marca 1925. | Rok 2.

Ewangelja

św. Mateusza rozdz. 17. wiersz 1—9.

Onego czasu wziął Jezus Piotra, Jakóba i Jana, brata jego i wprowadził ich na górę wysoką osobną i przemienił się przed nimi. A oblicze Jego rozjaśniało, jako słońce, a szaty Jego stały się białe jako śnieg. A oto się im ukazali Mojżesz i Eliasz z Nim rozmawiający. A odpowiadając Piotr, rzekł do Jezusa: Panie dobrze jest nam tu być. Jeżeli chcesz, uczynimy tu trzy przybytki, Tobie jeden, Mojżeszowi jeden i Eliaszowi jeden. Gdy on jeszcze mówił, oto obłok jasny okrył ich. A oto głos z obłoku mówiący: Ten jest Syn Mój miły, w którymem Sobie dobrze upodobał, Jego słuchajcie. A usłyszawszy uczniowie, upadli na twarz swoją i bali się bardzo. I przystąpił Jezus i dotknął się ich i rzekł im: Wstańcie, a nie bójcie się. A podniósłszy oczy swe, nikogo nie widzieli, jedno samego Jezusa. A gdy zstępowali z góry, przykazał im Jezus, mówiąc: Nikomu nie powiadajcie widzenia, aż Syn Boży zmartwychwstanie.

Nauka

II N. Postu.

Przemienienie.

Pan Jezus przepowiadał uczniom swoim bolesną swoją mękę i śmierć. Uczniowie zaniepokojeni są i przerażeni —, a pewnieć nawet wiara i ufność w nich się chwiały.

By przynajmniej najwybitniejszych uczniów pocieszyć i umocnić, Pan Jezus bierze ich na górę i przemienia się wobec nich.

Przemienienie na górze nie było istotne, ani trwałe, gdyż istotne i trwałe nastąpiło dopiero w zmartwychwstaniu, raczej Pan Jezus pozwolił, by na chwilę Bóstwo Jego promieniowało przez Ciało, by odblask Bóstwa opromienił Ciało. To lekkie odchylenie zasłony, jaka zakrywa blask i chwałę niebieską oszałamia już tak dalece Apostołów, taką napawa ich radością, że pełni zachwytu przez usta Piotra się odzywają: Panie, dobrze nam tu być. Przerażenie ogarnia ich dopiero, gdy obłok świetlany, który w Starym Zakonie był zapowiedzią i dowodem szczególniejszego zbliżania się Boga do ludzi; okrywa P. J. i gdy obok Niego zjawiają się Eliasz i Mojżesz, gdy usłyszeli głos z obłoku: „Tenci jest Syn mój miły, w którymem Sobie upodobał, Jego słuchajcie“.

Trzech daje świadectwo Panu Jezusowi z wieczności: Bóg Ojciec, Eliasz i Mojżesz, a trzech świadków na ziemi: Piotr, Jakób i Jan — a my wszyscy słowem, sercem i uczynkiem także mamy dawać świadectwo P. Jezusowi.

Wrażenie przemienienia tak było potężne, że Piotr św. dużo lat potem jeszcze o niem wspominał choć widział zmartwychwstałego i wniebowstępującego P. Jezusa. Pamięć na chwałę przemienienia, jakiego wierni słudzy Boży kiedyś na podobieństwo P. Jezusa dostąpić mają, jest dla Apostołów bodźcem i słodką pociechą w ich trudach i cierpieniach.

A kiedy wespół z Chrystusem cierpimy, to też wespół z Nim przemienieni będziemy — „woła Apostoł.“

I dla nas z przemienienia słodka płynie pociecha. Nasze ciało mizerne, ulega cierpieniom, chorobom, a wreszcie śmierci. Aleć to nie napróżno! To ciało, jeżeli będzie godnem duszy mieszkaniem i narzędziem, jeżeli podlegając duszy służyć będzie P. Jezusowi, z Nim i dla Niego trudzić się i cierpieć, to w dzień ostatni powstanie przemienione ku chwale, przemieni je P. Jezus na podobieństwo Swego Ciała uwielbionego, uduchowni je i napełni nietylko duszę, lecz też ciało słodyczą i szczęściem niewymownem. Nie są przyrównania godne nasze cierpienia do chwały, jaka nas czeka, mówi Apostoł. Warto tedy biedzić się, trudzić, walczyć i cierpieć przez ten krótki czas życia doczesnego, aby otrzymać wiekuiste szczęście, nasycenie i chwałę —, gdzie już nie będzie ani zimna, ani gorąca, ani smutków, ni łez, gdzie nie będzie głodu ani pragnienia, gdzie już śmierci nie będzie ani obawy utraty szczęścia. Wpatrujmy się oczyma wiary w przemienienie Pańskie, a nigdy nie stracimy ochoty ani otuchy. X.

Testament i nagrody Nobla.

W ostatnim czasie słyszeli czytelnicy kilkakrotnie o nagrodach Nobla.

Ponieważ niejeden z naszych szanownych czytelników nie wie, kto to był ów Nobel i te

jego nagrody, przeto tu w krótkości o tem pomówimy.

Alfred Bernhard Nobel urodził się w Szwecji i zasłynął z tego, że wynalazł dynamit i na wynalazku tym, dorobił się wielkiego majątku.

Nobel jest jedynym chyba człowiekiem, który postanowił cały swój ogromny majątek przeznaczyć za życia nie dla osobistego, lecz społecznego celu. W testamencie swoim postanowił on, aby większa połowa jego majątku obróconą została na rozwój dobra i szczęścia wśród ludzi.

Przez odkrycie Nobla dostał się w ręce ludzkie straszny oręż nienawiści. Przeczuł on to prawdopodobnie za dni życia swego, skoro dążeniem i wolą jego było — aby sprostać złemu przeznaczył cały swój majątek na usługi popierania idei pokojowej.

Alfred Nobel, niestety! prawnikiem nie był. To też testament jego jest bardzo osobliwym dokumentem, nie dającym się praktycznie wykonać bez wielkich modyfikacyj (zmian). Główne ustępy testamentu brzmią mniej więcej tak:

Kapitał winien być przez wykonawców testamentu zamieniony na pewne, nie podlegające zmianie kursu papiery procentowe co utworzy stały fundusz, z którego roczne odsetki mają być obrócone na nagrody dla tych, których czyny przyniosą w każdym ubiegłym roku największą dla ludzkości korzyść.

Następnie następuje podział, podług którego reszta z ogólnego kapitału podzielona na pięć równych części nagrody, dla ludzi zasłużonych na polu pracy z dziedziny fizyki, chemji, medycyny, literatury i idei pokojowej. Pierwsze cztery nagrody pozostają w rozporządzeniu i zależności szwedzkich różnych instytucyj naukowych, natomiast nagrodą pokojową, rozporządza wyłącznie Storthing (sejm) norwegski.

Zaraz po ujawnieniu testamentu Nobla okazało się, niezbędnem zaprowadzenie w nim niektórych zmian. Nasamprzód przyjęto za rzecz niemożliwą, ograniczyć się w przyznawaniu nagród za odkrycia naukowe do ubiegłego roku, gdyż wynalazki prawdziwie doniosłego znaczenia jak się w praktyce okazuje, nie mogą być ocenione w chwili odkrycia, lecz znacznie później.

Prócz tego okazało się nieuniknioną potrzebą utworzenie własnych instytucyj specjalnie wybudowanych, w którychby uczeni wszelkiej gałęzi nauki zbadać mogli pracę współubieg. się o przyznanie im nagród, a także mieli możność w odpowiedzialnem swem powołaniu gruntownie się wykształcić. Następnie uzupełniono jeszcze testament ten, że w razie gdyby okazało się, że żaden ze współubiegających nie jest godnym otrzymania nagrody, to w takim razie nagrody przechowują się lub rozdzielone pomiędzy kilku być mogą.

Wszystkie te postanowienia są wprawdzie poza obrębem dosłownego znaczenia testamentu noblowskiego; ogólnie jednak wziąwszy, są tak przestrzegane, iż bez wątpienia odpowiadają woli Nobla. To też zdrowym rozsądkiem się kierując, Szwedzi prędko się spotrzegli, jakie korzyści instytucja Nobla oddać może życiu naukowemu ich kraju, bez naruszenia zasad Nobla, które przy rozdawaniu nagród nie ograniczają narodowości.

Fundusz noblowski wynosił w 1900 r. ściśle 24,980,000 marek. Cały roczny dochód około 1,200.000 mk. obrócono na rozłożenie różnych instytucyj, a więc po 240,000 mk. na każdą z pięciu w mowie będących instytucyj, jak dotychczas tylko instytut akademji Nobla jest ukończonym. Ukończenie pozostałych czterech instytucyj potrwa jeszcze lat kilka. Instytut noblowski szwedzkiej akademji i jego komitet wiedzy naukowej znalazły główną swą siedzibę w domu „Carlsbergdzie“ w Sztokholmie, stolicy Szwecji.

Przyznanie nagrody literackiej powierzono więc sławnej „Swenska“ akademji w Sztokholmie, która ze swej strony uznała za konieczne, założyć osobną bibljotekę imienia Nobla dla wszechstronnego studjowania literatury, gdyż bez tego trudno by było o sąd sprawiedliwy. Koszt założenia bibljoteki wyniósł początkowo 80,000 mk., zaś z odsetek rocznych, które wynoszą 160.000 mk. potrąconą będzie rocznie jedna czwarta część na utrzymanie i powiększenie rzeczonej bibljoteki; na roczną więc nagrodę pozostaje okrągłych 120.000 mk.

Podobno noszą się z myślą założenia w Norwegji dla spraw dotyczących idei pokojowej własnej siedziby, skąd rozpisywanoby o postępie idei wiadomości na cały świat cywilizowany.

Na popieraniu spraw pokojowych widocznie dużo zapisodawcy zależało i główny na to kładł nacisk. Wspomina bowiem w swoim testamencie o „bratnich uczuciach narodów“ i o zniesieniu a przynajmniej zmniejszeniu wielkich armij, jak również o dotatniem znaczeniu wielkich międzynarodowych kongresów pokojowych, odpowiadających zupełnie celowi.

Pozatem ciekawym jest pogląd Nobla, z którym się zwierzył przed swoim przyjacielem Karolem Waern, na krótko przed swym zgonem; charakteryzuje on dosadnie i niedwuznacznie wspaniałomyślność ofiarodawcy.

Nobel powiedział: „Nie pomyślałem nad tem, aby w testamencie wspomnieć o „homme d'action“ (człowiek czynu) i takiemu coś zapisać, gdyż tym sposobem mógłbym tylko go zniechęcić do dalszej pracy. Natomiast pragnę przyjść z pomocą tym marzycielom, którym walka o byt tak srodze życie utrudnia“.

Nie oddamy morza!

Motto:

Morze, bądź pozdrowione! W twych białych pian wieniec
w twe bursztynowe łono, skryte pod fal grzywą,
złoty pierścień zaślubin rzucił oblubieniec,
na znak serdecznych uczuć, wierności ogniwo.
W dział biciu, w szczęku broni, w serc mnogich łomotach.
Po trzykroć Białe Orły do twych wód przypadły
i marząc o dalekich, niespętanych lotach,
u brzegów chmurą skrzydeł na straży usiadły.
Morze, w zwycięski uścisk wziął cię tryumfator,
aż z twych bałtów rumieńców wybłysnęła zorza,
a dzwony całej Polski, grzmiąc Veni Creator,
powtarzały przysięgę: Nie oddamy morza!

Rajmund Bergel.

CZARNY RYCERZ

Opowiadanie historyczne z XI wieku

10) przez

WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

— To wy panie do Krakowa chcecie jechać?

— A tak do Krakowa.

— Na turniej?

— Oczywiście, że na turniej. Wspaniała to będzie zabawa i chcę kopję skruszyć z jakimś rycerzem obcym, bo to tam tego słyszę moc zjechała się do Krakowa. Niech Niemcy poznają, że i Polacy mają ręce i ducha rycerskiego. Jeno jeżeli drogi prawdziwej nie znajdę, to się spóźnię. Turniej pojutrze się odbędzie, a trzeba przecież, żeby konie sobie wypoczęły i zbroję oczyścić należy. Ale i wy panie może jedziecie do Krakowa?

Mikołaj nie odrazu odpowiedział, widocznie się wahał, wreszcie rzekł:

— Tak i ja jadę...

— I także na turniej?

— Nie wiem jeszcze... zobaczę...

— Ale co tu myśleć! Zbroję macie piękną, zagraniczną widzę, jeno ją trzeba oczyścić i wypolerować. Koń też pod wami dobry, tylko wypocząć musi. Czemużbyście nie mieli jakiego Niemca z siodła zrzucić? Należy im się to. Słyszę gadają, że nikt z nimi mierzyć się nie może i że wszystkich Polaków pobiją. Ano, obaczymy...

— Tak Niemcy gadają?

— A tak. Spróbuję ja się z nimi i zobaczę, jak Wiesław z Wiślicy, Wolą głową zwany, kopją i mieczem włada. Cieszę się bardzo, żem was spotkał, bo już razem pojedziemy. Którędyż tedy trzeba jechać do Krakowa.

— Tędy, rzekł Mikołaj wskazując ręką na lewo.

— Na lewo? ja też to sobie zaraz myślałem. Ojciec mi mówili, żem powinien jechać zawsze twarzą zwrócony na zachód słońca. Ale teraz południe, skądże więć mogę wiedzieć, gdzie jest zachód? Musiałbym czekać do wieczora, gdybym was nie spotkał. Z daleka jesteście rycerzu?

— O! z daleka.

— Jakże was zowią?

— Hm! mruknął Mikołaj — tego wam powiedzieć nie mogę. Zwijcie mię czarnym rycerzem.

— Niechże i tak będzie. Musi wam być to potrzebne, kiedy się z swem nazwiskiem kryjecie. To nawet jest, słyszę, po rycersku. Niemcy na turnieju nigdy swych nazwisk nie głoszą, tylko przezwiska, tak ja wy. Ale co my tu gadamy na rozstajnych drogach, złe to miejsce i tam oto, pod kamieniami i chróstem musi być mogiła wisielca, albo topielca.

— Wisielca zawołał Leszek.

— Ano, niechże sobie będzie wisielca, wszystko mi tam jedno. No, komu w drogę, to i czas. Sobku, podaj mi konia.

Jeden z giermków przyprowadził bułanka, Wola głowa go dosiadł i mówił:

— Byleśmy tylko na czas dojechali do Krakowa. Cztery dni już tłukę się jak opętaniec po puszczach i borach i tylko raz spałem pod dachem. Głodny też jestem.

O to źle! odezwał się Leszek.

— A tak, tak, źle, ale cóż robić? Może w puszczy ubijemy jakiego zwierza.

— Jadąc koło Mikołaja, ciągle prawie mówił:

— Turniej to będzie taki, jakiego świat nie widział. Król chce pokazać Niemcom, jako jesteśmy narodem bogatym, walecznym i grzecznym. I nie sami Niemcy tam będą. Zjechało już wielu rycerzy, czeskich, węgierskich, a nawet z Włoch, gdzie to papież mieszka.

— Jakto, spytał Mikołaj, Węgrzy będą?

— A będą, bo to podobno królewicz ich jakiś przyjechał, do Krakowa, bo go Węgrzy wygnali. Prosi tedy naszego króla, by go na tron wprowadził.

— A przecie to już raz nasz król uczynił!

— Nie wiem, jak tam jest, tak ludzie gadają, to pewna, że Węgrzy będą na turnieju.

— Mikołaj mruknął coś niechętnie i ponuro, a Wola głowa dalej prawił:

— Jest tam i rycerzy kijowskich mnóstwo, przyjechali z wielkiego miasta ruskiego Kijowa, ze swoim kniaziem Izasławem, co go także bracia wygnali z tronu. Gadają ludzie, że nasz Bolko chce iść na Kijów, bo to tam mają być ogromne skarby, co je kniaziowie ruscy mają z Carogrodu, od rzymskich cesarzy.

I ojciec mój, który już sto lat żyje na świecie, powiada, że takiego miasta, jako Carogród, świat drugiego nie ma. Mówią też, że król dlatego ów turniej w Krakowie urządza, żeby się doń ściągało rycerstwo ze wszystkich ziem i krajów. Potem pójdzie na Kijów. Jeżeli to prawda, to i ja z królem pójdę. A co mi tam, czego ja będę siedział w Wiślicy i jeno z psami i sokołami po borach latał. Pójdę sobie na Kijów, na Carogród, gdzie król każe!

Poczem poprawiając się na siodle, dodał:

— Jak to dobrze, żem ja was Czarny rycerzu spotkał; byłbym nie trafił do Krakowa i na turnieju nie był. Kto zwycieży, nagrody będzie brał, królowa, matka króla, co ją Dobrogniewą zowią i inne niewiasty i dziewki, nagrody rozdawać będą zwycięzcom.

— To i niewiasty będą na turnieju? spytał Mikołaj.

— A jakże, tak zawsze jest. Ojciec mi to opowiadał, a on był na Niemcach jeszcze za króla, co go Chrobrym zwali. On to wszystko dobrze wie i zna cały obyczaj rycerski.

Tak rozmawiając zapuścili się znowu w puszczę i nad wieczorem nad strumieniem rozłożyli się na nocleg. Giermkowie i Leszek z nimi poszli z łukami na polowanie i przynieśli wkrótce zająca i trzy wielkie głuszce. Była więc wieczerza obfita. Noc spędzili spokojnie, a nazajutrz świtaniem wyruszyli w dalszą drogę.

VI.

Turniej.

Tym sposobem Mikołaj, przezwany teraz Czarnym rycerzem i Wiesław, inaczej Wola głowa, oraz ich giermkowie jadąc razem i parokrotnie jeszcze pobłądziwszy w puszczy, dostali się na drugi dzień wieczorem do Krakowa. Kiedy już przy blasku zachodzącego słońca ze wzgórzy otaczających miasto ujrzeli ówczesną stolicę kraju, Wiesław patrząc na jej wieże, na baszty Wawelu, na wysoką iglastą dzwonnicę Maryacką, na wały, na częstokół i gdzieniegdzie rozrzucone kamienne baszty, broniące przystępu do grodu, stanął i z wyrazem zdziwienia na twarzy, zawołał:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI

Zwarjował ze strachu przed zaćmieniem słońca.

Tegoroczne zaćmienie słońca widoczne głównie w Ameryce północnej w końcu ub. miesiąca spowodowało niezwykłą ofiarę. Oto Polak, 27-letni robotnik, zamieszkały w Niagara Falls, Mateusz Rostocki, zwarjował skutkiem rozczytywania się o zaćmieniu słońca i jego wpływie na ziemię, oraz łączonego z niem „końca świata".

Rostocki dostał ataku podczas pracy w fabryce. Zaczął on wołać: „Jestem napełniony elektrycznością! Widzicie te iskry! Nie dotykajcie mnie, bo zginiecie!"

Małżeństwo wiolonczelisty z fortepianistką

zakończone rozwodem.

Rodak nasz, Poznańczyk p. J. Piławski po ukończeniu konserwatorjum muzycznego w Paryżu, przed dwoma laty pojechał do Ameryki i został solistą orkiestry symfonicznej w Detroit. Wkrótce poznał fortepianistkę, rodowitą „Detroiciankę" pannę Marcedes Bonnet, z którą się ożenił. Udało mu się tam nabyć starą, podobno cenną wiolonczelę co go skłoniło do przepędzania w jej towarzystwie całego wolnego czasu jakim rozporządzał. Przestał zwracać uwagę na młodą żonę i co jest niemniej ważnem, nieustanną grą w szczupłem mieszkaniu powystraszał uczennice żony, która utraciła możność dawania u siebie lekcyj. Chcąc mieć w domu choć trochę spokoju, pani Piławska wystąpiła o rozwód, a gdy go uzyskała od sędziego Dingemana, wypowiedziała mowę do zgromadzonej publiczności.

— Z chwilą gdy, znowu jestem wolną, nie mam żalu do mego byłego małżonka. Jedyne co mu zarzucam, to nieustanne jego muzykowanie. Zdarzało się, że nie mogąc zasnąć zrywałam się z łóżka i biegłam szukać noclegu u której z przyjaciółek. Panu Piławskiemu żona nie była potrzebna. Wiolonczela wystarczała mu w zupełności.

Wolą siedzieć w więzieniu, niż dawać żonom utrzymanie.

W Bridewell w stanie Klinoi w St. Zjednoczonych istnieje więzienie, przeznaczone wyłącznie dla mężów, którzy nie dają żonom na utrzymanie. Są to oczywiście ludzie lekkomyślni, którzy pieniądze zarobione trwonią na przyjemności osobiste. Wielu z nich woli odsiadywać więzienie, niż łamać swoje zasady, iż kobieta równouprawniona nie obarczona dziećmi powinna pracować na własne potrzeby. Sędzia stanary Willjam Morgan otrzymał od zarządu stanem wykaz strat ponoszonych przez kasę komunalną na utrzymywanie aresztantów tej kategorji. Pojechał do Bridewell i konferował z mężami proponując zwolnienie ich na próbę. Który z nich będzie płacił na utrzymanie żony, otrzyma zwolnienie z aresztu. Niektórzy propozycję przyjęli, lecz większa część oświadczyła się za odsiedzeniem całkowitego terminu.

Po 37 latach więzienia

wypuszczony na wolność.

W roku 1888 dnia 27 października zapadł w sądzie medjolańskim wyrok, skazujący niejakiego Pasquale Guarriniollo z Montoro oraz Pasquale i Mattię Petrosino na śmierć, za zamordowanie Petrosina, ojca obydwu skazanych. Podobno synowie podburzyli Guarriniollego, by dopomógł im do zgładzenia ojca.

W ostatniej chwili zamieniono wyrok śmierci na dożywotne ciężkie roboty. Teraz po 37 latach więzienia, Pasquale Petrosino, jedyny z trzech skazanych, który jeszcze był przy życiu, został dzięki ostatniemu dekretowi, ułaskawiony. Powrócił on do Montoro, gdzie mieszka dotychczas jego małżonka. Długoletni więzień zdziwiony jest i zachwycony postępami w udoskonaleniu narzędzi rolnych.

Pasquale robi wrażenie oszołomionego, telefonu się przeraził, zaprowadzony do kina — zemdlał. Opowiada on, że nieraz w więzieniu słyszał o nowych wynalazkach, ale nie przypuszczał, że zobaczy to wszystko własnemi oczyma.

WESOŁY KĄCIK

W tramwaju.

Facet: — Ach! Jakże ta arka Noego napełniona.

Jeden z jadących: — Brakuje tylko osła!..

Konduktor: — Siadaj pan prędko.

Dobry przyjaciel.

— Bądź tedy zdrów przyjacielu, a gdy kiedy będziesz potrzebował sto marek, to przyjdź do mnie — wtedy będziemy we dwójkę szukać takiego, który nam ich pożyczy.

Pociecha ojca rodziny.

Ojciec (do dzieci przy stole): Gdy ja byłem dzieckiem, to zaledwo suchy kawałek chleba miałem, a nigdy tak dobrych potraw.

— Widzisz tatko, przy nas masz lepiej — odrzekł jeden z malców.

Rezolutna panna.

— Michale — pyta ksiądz przy ślubie — masz mocną, a nie przymuszoną wolę, tę Agnieszkę, którą tu przed sobą widzisz, za małżonkę sobie pojąć?

— Proszę jegomości — przerywa mu Agnieszka — czy on chce, czy nie chce, o to nie chodzi, on może być rad, że ja go biorę, bo nie ma nic, a ja mam trzysta marek i krowę!

* * *

— Papo, czy to pan Alfons przeszedł koło nas?

— Tak, to on, co to miał sobie w łeb strzelić, ale...

— Ale co?

— Ale nie mógł głowy znaleźć.

* * *

Panna: — Co też pan masz dochodu?

Kawaler: — Nogi, dwie pary butów i pięć par skarpetek.

Jak kiedy.

A: Czy pańska żona potrafi trzymać język za zebami?

B: O tak, ale tylko wtedy, gdy ją pytam o cośkolwiek.